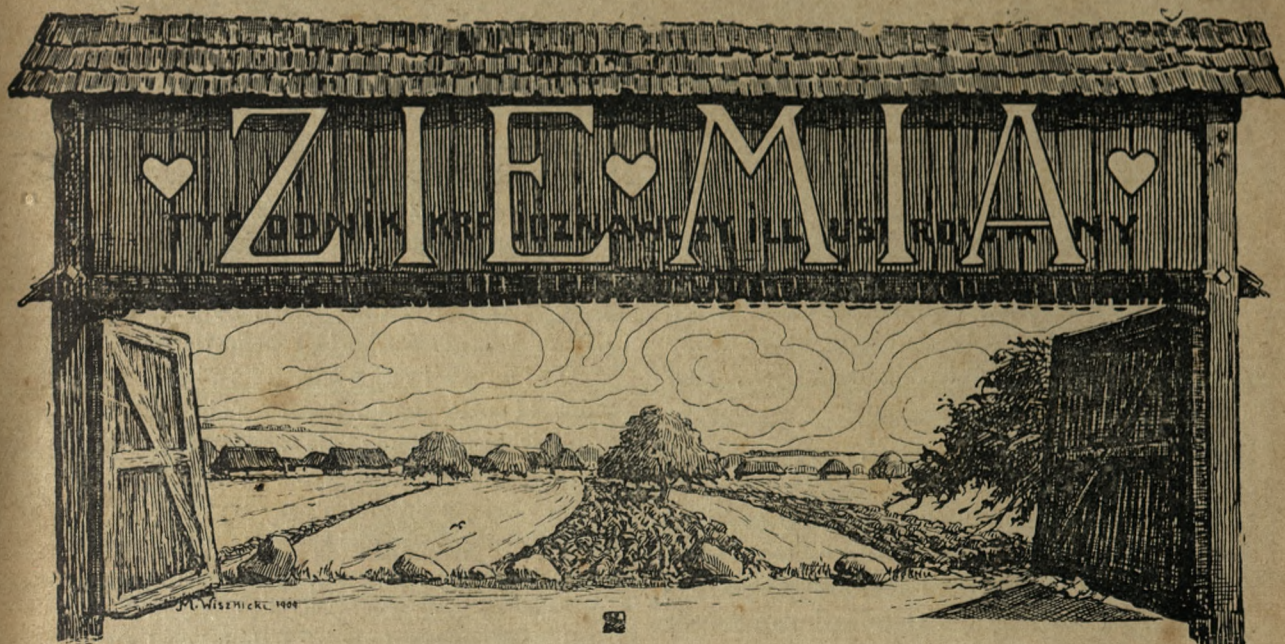




ZABYTKI PRZEDHISTORYCZNE W OKOLICACH OJCOWA i MIECHOWA. ²⁾

Już w latach 1871—1881 dawny właściciel Ojcowa, Jan Zawisza, zbadał jaskinię Mamutową czyli Wierzchowską dolną, a w części wielką jaskinię Wierzchowską górną. Następnie prawie jednocześnie prusak Grube, kopiąc bezładnie w celach przemysłowych namuliska jaskiń Jerzmanowskiej czyli Nietoperzowej, Koziańskiej, Zbójcekiej, Białej paru innych, dostarczał przytem niemało zabytków przedhistorycznych dla profesora geologii we Wrocławiu dra

Roemera i jego dzieła „Die Knochenhöhlen von Ojców in Polen” (Cassel, 1883). Wreszcie w latach 1883—1886 G. Ossowski,



SCHRONISKO W STOKOWEJ SKALE

fol. S. J. Czarnowski



członek Akademii Umiejętności krakowskiej, z jej polecenia zbadał jaskinie Zielonkowską, Maszycką, Bębłowską, dokończył poszukiwań Zawiszy w jaskini Wierzchowskiej górnej, przejrzał schroniska Swawolskie i pod Bronówką, na prawym brzegu Prądnika we wsi Swawoli w pobliżu granicy położone, wreszcie jaskinię zamieszkałą, na lewym brzegu nieopodal leżącą, która żadnych zabytków nie zawierała¹⁾.

Posuwając w dalszym ciągu wgórę doliny Prądnika owe poszukiwania dawniejsze, zbadałem kolejno:

Na lewym brzegu Prądnika:

Jaskinie w skałach Ogrójca w pobliżu jaskini Maszyckiej, a mianowicie górny Tunel w Ogrójcu i schronisko obok położone, jaskinię dolną w Ogrójcu i parę innych pomniejszych schronisk w tychże skałach na gruncie wsi Maszyc w lasku.

Jaskinie Kopcowej skały: główną górną, trzy schroniska dolne pomniejsze, dwa schroniska górne, nad Malarzówką zwane, oraz pracownię wyrobów krzemiennych na szczycie płaskim położoną, która zawierała wielką ilość okrzesków i narzędzi różnego rodzaju z kilku odmian krzemienia.

Jaskinie i schroniska na górze Smardzewskiej, w Cygańskiej skale, w Zajęczej skale i w Lusikowej skale przy wąwozie smardzewskim i ścieżce przezeń wiodącej do wsi Smardzewic.

Jaskinie i schroniska na górze „Okopy” zwanej, oraz grodzisko wśród nich położone, a mianowicie: jaskinię w Okopach wielką, schronisko górne ponad nią, schronisko dolne, jaskinię pod Okopami górną i jaskinię borsuczą (czaszka ludzka) przy wąwozie smardzewskim.

Schroniska w Krzyżowej skale na północ od góry Okopy, przy drożynie leśnej, wiodącej z doliny Prądnika do wsi Smardzewic.

Jaskinie i schroniska na Górze

¹⁾ Badania jaskiniowe Zawiszy pomieszczone są w „Wiadomościach archeologicznych”, wydawanych w Warszawie w r. 1873 — 1882; Ossowskiego w „Sprawozdaniach z badań paleontologicznych w jaskiniach Ojcowa dokonanych w r. 1883—1886”, drukowanych w „Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej” z r. 1884—1887 Akademii Umiejętności w Krakowie.

Koronnej bardzo liczne; z nich przekopałem całkowicie trzy: schronisko dolne przy ścieżce, prowadzącej od rzeki Prądnika do jaskini ciemnej, tunel Oborzysko wielkie przy tejże za skalą Rękawicą, oraz Oborzysko małe poniżej położone. Pozostały tu jeszcze do zbadania cała jaskinia Ciemna i pomniejsze schroniska, opisane przeze mnie dokładnie w artykule „Jaskinie Góry Koronnej” w Nr 24 „Ziemi” z r. 1910 ze szczegółową kartą topograficzną.

Dziurawiec nad ujściem Sąspówki do Prądnika, bardzo mało dostępny, po bliższym zbadaniu nie zawierał żadnych zabytków przedhistorycznych. Małe schronisko w tejże skale, z drugiej strony wysoko leżące, zawierało nieco narzędzi krzemiennych, skorup z naczyń w ręku lepionych, oraz kości zwierzęcych całych i łupanych. Drugie małe schronisko w sąsiedniej skale od strony południowej Dziurawca, z otworem w postaci wąskiej szczeliny (naprzeciw tartaka dworskiego) w namule gliniastym zawierało tylko dwie ostrogi żelazne wczesnośredniowieczne.

Schronisko Czyżowe, przy domu włościanina Czyży, włączone do obory, nie zawiera żadnych zabytków. W pobliżu przy kopaniu fundamentu pod nowy budynek gospodarz ów znalazł w warstwie gliny żółtej w głębokości około 1 metra mnóstwo kości bydłych, piłowanych wpoprzek niedaleko stawów, w kształcie trzonków do narzędzi krzemiennych. Podobne trzonki kościane znajdowano też pojedynczo w niektórych jaskiniach pobliskich.

Niedźwiedzia jama, naprzeciw hotelu „pod Kaźmierzem”, prócz namułu gliniastoziemistego i odłamków wapienia różnej wielkości nic nie zawierała.

Dziurawiec przy zamku, naprzeciw góry zamkowej Ojcowa, położony wysoko w skale podmytej rzeką, dostępny tylko po drabinie, nie posiada wcale namułu ani żadnych zabytków.

Jaskinie nad Dziurawcem zamkowym poprzednio wymienionym, w ogrójczyku otoczonym skałami, dostępnym od drogi wiodącej przez most na Prądniku do miasteczka Skały: j. górna, długa kilkanaście metrów, wysoka i szeroka około 1 m. i j. dolna, długa 25 metrów, a tak ciasna, że człowiek tylko czołgając się przecisnąć się może — nie zostały jeszcze dokładnie zbadane ani rozkopane.



Jaskinia przy kaplicy (nad jeziorkiem obecnie spuszczone) za zakładem leczniczym, rozkopana przez całą długość, w namulisku gliniastem prócz okruchów wapienia nic nie zawierała.

Schronisko podskalne, przy figurze Matki Boskiej nieco dalej na północ położone, tuż nad rzeką, także nic nie zawierało krom okruchów wapienia i drobnych kości w namule czarnoziemnym.

Wilcza jama, nieco dalej ku północy w sąsiedniej Wilczej skale położona, nie zawierała żadnych zabytków.

Na prawym brzegu Prądnika, poczynając od granicy galicyjskiej (pominawszy rozpatrzone już dawniej przez prof. G. Ossowskiego pomniejsze schroniska we wsi Zielonkach i Swawoli) zbadałem,

posuwając się kolejno w górę rzeki i jej doliny, liczne jaskinie, a mianowicie:

Jaskinie wąwozu Stodoliska: tunel główny przechodni, Schronisko nad tunelem, jaskinię sypialną, schronisko małe przy niej położone i mniejsze jeszcze po drugiej stronie skały, z licznymi zabytkami neolitycznymi.

Schronisko w Stokowej skale nad stokiem czyli pięknym źródłem, w pobliżu wejścia do wąwozu Stodoliska od strony północnej, bogate w zabytki z krzemienia, kości i nieco z brązu.

Schroniska w Wójtowej skale, dwa małe szczelinowate, i schronisko niskie u jej stóp leżące, które prócz namulu ziemistogliniastego i drobnych kości nic nie zawierały.

(DN)

S. J. Czarnowski.

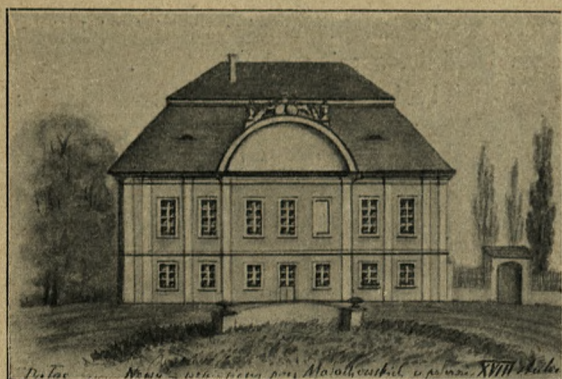


Z przeszłości Nałęczowa. ³⁾

Przypuszczając, że gospodarstwo bochootnickie i gospodarstwo kębelskie stały na jednym stopniu kultury, a ilość obsiewów (tu i tam) normując według odrabianej tu i tam pańszczyzny, — widzimy, że z ogólnej cyfry wysianego zboża należy $\frac{3}{5}$ przyjąć na gospodarstwo bochootnickie. Na zasadzie tego przypuszczenia będziemy tu mieli w roku 1737 następujące wysiewy: pszenicy korcy około 25, żyta korcy około 145, czyli około 170 morgów oziminy, oraz taką samą mniej więcej przestrzeń jarzyny (jęczmienia korcy około 35, owsa korcy 110, tataraki korcy 40, żyta jarego korcy 10, grochu korcy 4, siemienia konopnego korcy 5, prosa i lnu po pół korca). Widzimy z tego, że z całej przestrzeni, obejmującej około 33 włók gruntów ornych, obsiewano zaledwie 11—12 włók, czyli mniej niż $\frac{2}{5}$ całej przestrzeni. Gospodarstwo tedy tamtej epoki polegało, jak widzimy, na długim, trzechletnim moze, wypoczynku ziemi, na odlogach i ugorach, nieuniknionych przy małej ilości utrzymywanego bydła i innego żywego inwentarza i małej stąd ilości nawozów; tenże bowiem „Inwentarz” powiada nam, że w całym folwarku bochootnickim było zaledwie 20 sztuk bydła

rogatego i kilkadziesiąt sztuk trzody, nie licząc zresztą koni pańskich i służbowych. Siewano też przeważnie zboża, mniej wymagające od ziemi: żyto, owies, tatarkę; pszenica wynosi zaledwie $\frac{1}{40}$, jęczmień $\frac{1}{30}$ przestrzeni gruntów ornych; okopowe redukują się do kilkadziesiątu grządek w ogródkach, dokoła folwarku położonych. Skromnie bardzo wygląda w naszych oczach to gospodarstwo. A jeżeli takie było w rękę jednej z zamożniejszych rodzin, to domyślać się można, że u reszty braci szlachty stało ono jeszcze niżej. Porównyując zaś stan, który tu opisujemy, z gospodarstwem, jakiego obraz zostawił nam pan Antoni Gostomski z końca XVI wieku, musimy wyznać, że kultura rolnicza cofnęła się znacznie od onego czasu. I zrozumiemy wtedy łatwiej powody zubożenia naszego, a następnie i upadku.

W „Inwentarzu”, jaki się zachował, znajdujemy jeszcze szczegółowy opis „pałacu”, jaki przetrwał dotąd (dzisiejsza „oficyna pałacowa”), oraz budowli otaczających pałac i folwarcznych. Wejście do pałacu było od strony zachodniej, podobnie jak i obecnie wprost ze dworu; naprzeciw



PAŁAC t. z. „NOWY”—PRZED PRZEBUDOWĄ rys. H. Wiercieński.

frontu, od strony zachodniej stały kuchnie (do niedawna istniały tam sklepienie lochy), obok nich kurniki; pomiędzy dworem a folwarkiem ciągnęły się „ogrody włoskie”, obsadzone i obsiane warzywem oraz sady; z tyłu za folwarkiem stały psiarnie.

Z budowli tych przetrwał dotąd (w zmienionej nieco postaci) ów „pałac” i „folwark”; inne otaczające go budowle rozebrano lub przerbiono.

Jeden z sukcesorów kasztelana lubelskiego, p. Alexander z Targowiska Gałęzowski, „dobra wyżej wyrażone (Bochoćnicę) po antecessorach swoich vigore działu spadłe, umyślił też same Dobra rezygnować, dać, darować, jakoż niniejszym kontraktem wspomniane dobra Bochoćnicę Kościelną, Cynków, Strzelce, Chruszczew, ze wszystkimi attynencyami i pertynencyami, owo zgoła poddaćniemi ciągłymi i nieciągłymi¹⁾ cum jure patronatus praesentandorum Parochorum...²⁾ za sumę umówioną dziewięćdziesiąt tysięcy złotych polskich JW. Gałęzowski kasztelan Lubelski JW. Małachowskiemu staroście wąwolnickiemu przedaje, daje, daruje i rezygnuje...” W komparycy „JW. Jęgmę Pan Stanisław Małachowski” wymieniony jest jeszcze, jako „Pułkownik znaku pancernego Wojsk Jego Królewskiej Mocy Rzplitej”. Data aktu „23 Junij An. Dni 1751-mo”. Pomiędzy dokumentami z owego czasu przechował się jeszcze skrypt, którym IMPan Małachowski „lubo nabył dobra bez żadnej excepcyi...” „jednak... praetio przyjaźni oddaje panu Gałęzowskiemu kilku poddanych (wymienionych szczegółowo) „z żonami i dziećmi”.

¹⁾ Poddanym ciągłym nazywano takiego, który odrabiał pańszczyznę sprzężajem, to jest wołami lub końmi. Poddany, mający mniejszy działek, zwykle odrabiał tylko pieszą pańszczyznę,

²⁾ Prawo przedstawiania kandydata na proboszcza parafii, które przetrwało do siódmego dziesięciolecia wieku zeszłego.

Oddają osiadają tu Małachowscy.

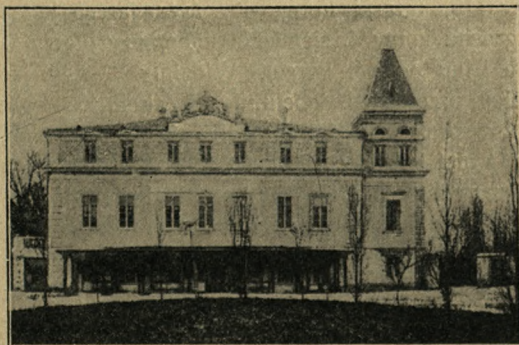
Pan Stanisław Małachowski był synem Adama krajczego koronnego, krewnego sławnego marszałka sejmu, jak widać z tablicy genealogicznej rodziny Małachowskich; wymieniany też kilkakrotnie w aktach miejscowych, jako „Incesserida Regni”¹⁾. Żona jego, Marya z Potockich, była kasztelanką lwowską²⁾.

Po nabyciu dóbr oboje Małachowscy obyczajem wieku zajęli się gorliwie upiększeniem miejscowości i budową rezydencji. Obok pałacu dawnego powstał nowy, obszerniejszy i piękniejszy, ozdobiony nadto wewnątrz gipsaturą, boazerią, malowidłami, złoceniami, zwierciadłami i t. p. Przetrwał on tak niemal w pierwotnym stanie do r. 1879. Na parterze mieściła się sień obszerna, izby gospodarskie, służebne i skarbiec; piętro stanowiło właściwą rezydencję pańską i posiadało piękną salę, istniejącą dotąd; na poddaszu były pokoiki dla fraucymeru i służby kobiecej. Pałac ten był znany w okolicy zarówno z pięknego urządzenia wewnątrz, jak również z opinii, że nie miał pieców. Istotnie piece były misternie przez architekta ukryte we wnękach grubych arkad murów środkowych, opalone z sieni, przysłonięte od pokoju zasłonami, przepuszczającymi ciepło, ale maskującymi piece, niknące w cieniu po za malowidłami, rzuconymi na zasłony.

Stary pałac zamieniono na oficynę, na dole których mieściły się kuchnie. Oba pałace połączone krytym kurytarzem o ścianie murowanej, osłaniającej go od wiatrów. U stóp pałacu urządzono tarasy, pod jednym z nich zbudowano lamusy i groty—chłodniki, osłonięte wzniesieniem ziemi od promieni słońca. Dokoła pałacu zasadzono park obszerny, a drogę, wiodącą do kościoła,

¹⁾ Drzewo genealogiczne rodziny Małachowskich i Matuszewicz (Pamiętniki);—akta miejscowe. (P. „Ziemia” № 2 r. b. art. „Góra trzech krzyży w Kazimierzu”.

²⁾ Napis na nagrobku w kościele bochoćnickim.



PAŁAC t. zw. „NOWY”—PO PRZEBUDOWIE W R. 1878—80



sprostowano ¹⁾ w kierunku pałacu, wysadzając ją drzewami, które przetrwały do naszych czasów i tworzą niemałą ozdobę tej części Nałęczowa.

Budowa pałacu przeciągnęła się do roku 1773. Świadczy o tem przechowany do dziś kontrakt oryginalny, zawarty pomiędzy architektem J. F. Naxem, ²⁾ a „starozakonnym Berkiem Lewkowiczem, majstrem kunsztu szklarskiego, obywatelem Lubelskim”, który za oszklenie 22 okien górnych, 17 dolnych, 11 dymników, oraz latarnie do sieni, otrzymał 728 złotych polskich. Jednocześnie tenże Lewkowicz oszkuł 40 okien inspektowych w olów, co kosztowało znów złotych polskich 1,000.

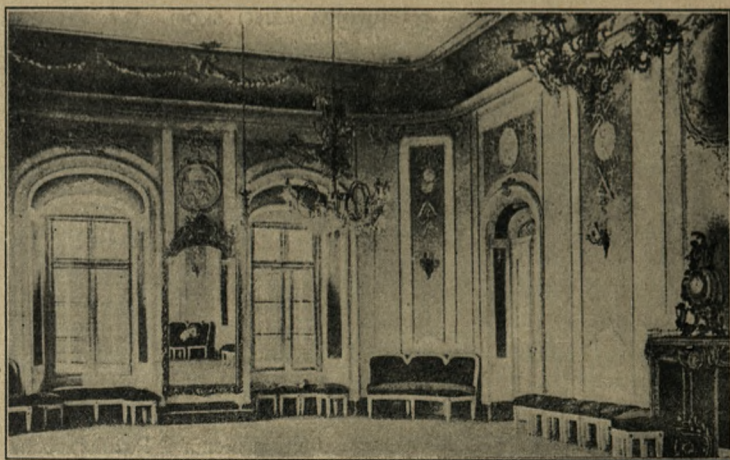
Nowa rezydencja Małachowskich otrzymała nazwę od ich herbu—„Nałęcz”—i odtąd zwać ją poczęto „Nałęczowem”.

Pani Maryanna z Potockich Małachowska nie doczekała ukończenia pałacu. Zmarła „Die 8 Julii 1772” w 48 roku życia, — a pochowana została „in tumbo noviter aedificato ad altare Beatissimae Virginis Mariae...”

Jakoż obok ołtarza NMPanny, gdzie złożono ciało zmarłej, wznosi się pomnik z czarnego marmuru, ozdobiony rzeźbą i portretem zmarłej, — a na nim czytamy następujący napis:

D. O. M.

„Stój przechodniu! Spocznij sobie,
„Obacz, kto w tym leży grobie.
„Maryanna jest z imienia,
„Z nego Potockich plemienia
„Konstancya Józef byli,
„Na świat którzy ją spłodzili.
„Od Lwowskiego kasztelaństwa
„Zaszczyt brali swego państwa.
„Małżonka zaś Stanisława
„Małachowska, skąd jej sława.
„Starostwo jej Wąwolnica
„Jako i tych dóbr Dziedzica.
„Jedynaka zostawiła
„Syna Józefa złączyła



SALA BALOWA W PAŁACU NAŁĘCZOWSKIM (dochowana w dawnej postaci).

„Miłość ojca Konstancya
„Tegoż domu gdy mu sprzyja.
„Niech starostwa Koraczkowskich
„Pamięć będzie ofiar boskich.
„Cnót wybornych pełna Pani
„Śmiercią wszystkich serca rani.
„Tu obrała swe spocznienie
„Prosi Cię, zmów pozdrowienie”.

Dalej na podstawie pomnika czytamy jeszcze napis, z 9 czterowierszów podobnej konstrukcyi i stylu złożony, wyjaśniający, że nagrobek ów postawił „cny małżonek — i w „znak miłości” pragnie, aby był pochowany w jednym grobie z żoną.

Owdowiały Stanisław Małachowski poślubia niebawem Różę Bielską, chorążankę lwowską, która w r. 1776 obdarza go córką, — Maryą-Reginą-Reginaldą, (w 2 lata później zmarłą), a w r. 1778 synem, któremu dano imiona: Jan z Dukli, Piotr, Adam.

PP. Stanisławostwo Małachowscy prowadzili dom otwarty i gościnny, a ślady licznych zjazdów i uroczystości rodzinnych pozostały w aktach miejscowych. Musieli cieszyć się niemałą powagą w rodzinie, skoro w ich domu odbywały się chrzty i wesela dalszych nawet krewnych i kolligatów. Tak w r. 1771 odbył się tu obrzęd weselny Maryi Małachowskiej, podkomorzanki sieradzkiej ¹⁾, oddającej rękę p. Kajetanowi Kielczewskiemu, chorążycowi lubelskiemu; tu odbyły się chrzty dzie-

¹⁾ Gościniec szedł dawniej ponad stawem ku kościółowi, — co widać jeszcze z położenia ukośnego do dzisiejszej alei starej figury, w której przed kilkunastoma laty umieszczono postać Ś. Michała Archanioła.

²⁾ Nax, inżynier-budowniczy — (być może znany autor dzieła „Wykład początkowych prawideł ekonomiki 1799”).

¹⁾ Jak się zdaje, córki Michała, późniejszego wojewody sieradzkiego, a rodzonego brata marszałka sejmku czteroletniego. Nawzajem Mikołaj Małachowski jest chrzestnym ojcem syna Stanisławostwa Małachowskich Adama, Józefa, Stanisława, Kajetana, ur. 1752 (akta miejscowe).



cięcia tychże Kielczewskich i dwojga dzieci skoliżonych z nimi Andrzejów Koźmianów¹⁾, sędziostwa ziemskich lubelskich (pani Koźmianowa, Anna, była siostrą p. Kajetana Kielczewskiego.)

Stanisław Małachowski, krajczy koronny, starosta wawolnicki, pułkownik znaku pancernego wojsk JKMci, kawaler orderów ś. Stanisława, zmarł w r. 1784. Najbliższymi jego byli: syn Józef, starosta koraczkowski (później poseł na sejm 1788 z wojew. krakowskiego²⁾), oraz brat, Piotr, wojewoda krakowski. O dzieciach jego: Adamie, ur. r. 1752, i Janie z Dukli, ur. 1778, nie posiadamy wiadomości.

¹⁾ Jedno w roku 1771 — którego imienia niema w akcie chrztu, odbytego tu z ceremonii, gdy imiona były dawane przy chrzcie z wody. Niewątpliwie mowa tu o Kajetanie, urodzonym w tym właśnie r. 1771; — drugie, Teresa, chrzczona w r. 1774. Kajetan Koźmian zasłynął później jako mąż stanu i pisarz, — autor „Stefana Czarneckiego”, „Ziemiaństwa” i „Pamiętników”. Zmarł 1856.

²⁾ Ob. Kalendarzyk narodowy i obcy na rok pański 1792.

Najbliżsi ci przecież nie weszli w posiadanie Nałęczowa, który na mocy układu przeszedł w ręce p. Antoniego Małachowskiego¹⁾, wojewody mazowieckiego, dalszego krewnego dotychczasowych właścicieli²⁾, a rodzzonego brata znanych krajowi: Stanisława, marszałka sejmu czteroletniego, i Hyacynta, Kanclerza W. Kor. Znajdujemy dokumenty miejscowe, podpisywane ręką p. Antoniego już w r. 1787, jako właściciela Nałęczowa; — wszedł więc w posiadanie tych dóbr wkrótce po śmierci Stanisława.

(DN)

H. Wierciński.

¹⁾ Portret jego znajduje się dotąd w Nałęczowie. Poznać go można po orderze orla białego, którego Stanisław nie posiadał.

²⁾ Ob. „Drzewo geneologiczne rodziny Małachowskich, dawniej Nałęcz” — w dziele „Mowy i pisma hrabi Hyacynta Małachowskiego” (Wrocław 1809).

W dalszych wywodach posilkowaliśmy się źródłami miejscowymi, o ile się znalazły w archiwach, oraz „Pamiętnikami Matuszewicza”, „Encyklopedyą Powsz.”, „Kalendarzem narodowym” z r. 1792, Kalendarzem politycznym z r. 1879, Rocznikami wojskowymi i t. p.



Pamiętki polskie w Padwie. 1)

Jeżeli dwa narody zbliżają się ku sobie i ściślejsze nawiązują stosunki, to podstawą owego zbliżenia bywają interesy dynastyczne, polityczne lub ekonomiczne.

Rzadziej zdarzają się zbliżenia, oparte nie na interesie materyalnym, lecz na braterstwie duchów, na podobieństwie psychiki, na oddziaływaniu kulturalnem przez naukę i sztukę. Jako zupełnie bezinteresowne zbliżenia takie są głębsze i trwalsze.

Dzieje ludów nie wiele dają przykładów takich bezinteresownych, w dziedzinie ducha poczętych zbliżeń, o tyle więc ciekawsze jest braterstwo odległych od siebie terytoryalnie, lecz bliskich duchowo ludów: polskiego i włoskiego.

Stojąca na kresach Słowiańszczyzny Polska o najbliższych sąsiadów nie mogła mieć oparcia: urobiona na bizantyjską modłę Ruś Kijowska niedorastała w kulturze do wykwintnej Polski, zgne-

bione w parowiekowej niewoli tatarskiej plemię wielkoruskie tak różniło się psychiką od duszy polskiej, jak posępna historia Kremla od jasnych i pogodnych dziejów Wawelu; od zachodu parły staloną ścianą nienawidzące i znienawidzone ludy germańskie; osamotniona więc Polska musiała szukać duchowego braterstwa u ludów romańskich, z którymi nadto łączyła ją wspólność łacińskiego obrządku.

Cudzoziemcy często nazywają nas „francuzami północy”, czego z upodobaniem słuchamy, jako pełnego kurtuazyi komplementu. Inni, surowsi, nazywają nas „hiszpanami północy”, co nas żywo dotyka i obraża; najsluszniej jednak możeby było nazywać nas „włochami północy”, co też nie-małym jest komplementem.

Do dzisiaj cały nasz polor towarzyski, cześć dla kobiet, ogląda salonu, większość pojęć prawnych



i filozoficznych ugruntowane są na wzorach włoskich, które wnieśli do Polski wychowawcy Bolonii i Padwy, owi wykwintni „Cortegiani”, dla których Górnicki przełożył dzieło Castigliona.

„Polacy żyli blisko z kolegami włoskimi, pisze Guarini, i pomimo różnicy pochodzenia czuli się pokrewni duchem”.

Odwieczna niechęć ku zachłannemu żywiołowi niemieckiemu, równie silna u ludów romańskich jak i u słowiańskich, łączyła w bratnie ogniwa przyszłów z nad Wisły i Niemna z tuziemcami półwyspu przeciw różnym pyszałkom, jak Werner v. Schulenburg lub Teobald Wit à Reineck, którzy tak dobrze dawali się we znaki polakom jak i włochom.

Zawiązki stosunków polsko-włoskich giną w promroce owych czasów, gdy karawany kupców nadziemnomorskich przeciągały przez bramę morawską i dolinę Wisły ku szaremu pobrzeżu Bałtyku po cenne bryły bursztynu, a ciągną się aż do epoki, gdy do naszej pieśni wprowadziliśmy tekst: „marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do polskiej”, gdy garybaldecyzyści walczyli w partyach 63 roku.

Przyjęcie łacińskiego obrządku szybko nizało ogniwa w łańcuchu zbliżenia: zjawiali się na ziemiach polskich włoscy zakonnicy, czasami przybywał z orszakiem legat stolicy apostolskiej, przedzierając się przez knieje aż do Płocka lub Wilna.

Szlak pomiędzy Włochami a Polską stawał się ruchliwy, młodzież polska zaczęła udawać się za Alpy. Gedko Gryfita, fundator cystersów w Wąchocku w epoce podziałów, a więc w XII wieku, kształcił się we Włoszech. Iwo Odrowąż, co zakładał kamień węgielny pod kościół Maryacki i fundował św. Jakóba w Sandomierzu, poznał dominikańskie klasztory pod lazurowym niebem Italii; jego krewni a święci polscy, Jacek i Czesław Odrowążowie, znani byli szeroko jako „święci północy”. O podróży Łokietkowej córki Elżbiety do Neapolu cuda opowiadają włoskie kroniki klasztorne.

A gdy nad ziemiami Włoch rozkwitała zorza renesansu, gdy Florencję nazywano „arcysalonem zamieszkanym przez arcyłudzi”, gdy rozgorzała łuna humanizmu, to na blask jej szły żaki krakowskie po światło i ogładę, po rozwój kulturalny, nie bacząc na trudy i niewygody nużącej podróży.

„Jestem Bolko, z polaków, berła Jagiellona, Przybyłem do Italii, by poznać Platona”.

A takich Bolków-sokołów szły całe rzesze. Nie orszak ślubny Bony Sforzy stworzył na Wawelu renesans polski, lecz właśnie owe żaki, co po powrocie ze studyów szykowały rolę pod bujny posiew haśle wielkich ludzi quattro i cinquecenta.

Jak oni się rozumieli wzajemnie, jak odczuwali braterstwo tych umysłów jasnych, bystrych, zdolnych, jakie serdeczne nawiązywali węzły!

„Przyjaźń się zaplatała węzłami niezgonna,
Dwa wierzchołki: cyprys i północna jodła”.

Czy można znaleźć gdzie podobną pogodę duszy i twórczości jak u typowego włocha z Małopolski—Jana z Czarnolasu? Jego wykwintne canzony nie mają równych sobie, chyba tylko we włoskiej literaturze:

„Miło szaleć, kiedy czas po temu,
A tak bracia, przypij każdy swemu;
Niech się tu nikt z państwem nie ozywa
Ani z nami powagi używa.
Przywileje powieśmy na kołku
A ty wedle pana siądź pacholku”

W tem wezwaniu brzmi echo tych zabaw ludowych, gdy Izabella d'Este ze swemi doncellami schodziła z pałacu między lud, nie obawiając się, aby ktoś grubiańsko potraktował jej damy dworskie.

Ta wykwintna cześć kobiety, przeniesiona ze stosunków włoskich, często przewija się i w twórczości Kochanowskiego:

„Ukaż mi się Magdaleno, ukaż twarz swoje
Twarz, która prawie wyraża różę oboję,
Ukaż złoty włos powiewny, ukaż swe oczy
Gwiazdom równe, które prędki krąg nieba toczy.
Ukaż wdzięczne usta twoje, usta różane
Perłę pełne, ukaż piersi mierne wydane;
I rękę alabastrową, w której zamknięte
Serce moje. O głupie, o myśli szalone!
Czego ja pragnę, o co ja nieszczęsny stoję?
Patrząc na cię wszystką władzę utracilem swoje,
Mowy nie mam, płomień po mnie tajemny chodź
W uszy dźwięk, a noc dwoista oczy zachodź”.

Tylko Włochy szesnastego stulecia mogły się zdobywać na taki kult piękna wykwintny.

Fraszki Jana—to typowe burleski włoskie. Treny to bliźniacze siostry canzon Petrarki „in morte di madonna Laura”.

Cywilizacyjna misja Polski promieniuje dalej ku wschodowi zaczerpnięte w boskiej Italii światło. Dążenie do wszechnic porywa nie tylko polską młodzież: ciągną na nią na studia pp. Kiniaszko, Kopeć lub Sopoćko, idą pp. Woruczeński lub Czołhański, zapisanych jest na medycynę w Padwie sześciu żydów polskich. Jakiś potężny prąd porywa ku pracy i nauce synów magnackich i szlachtę wioskową, idą mieszczenie Łowicza, Urzędowa lub Goniądza, trafiają się i synowie chłopscy przez możnych protektorów wysyłani. Pomimo trudów i niewygód podróży jadą pod włoskie niebo nawet panny możnych rodów: kształcą się tam Tęczyńskie, a zapewne i inne magnackie córki.

Możni mecenas, jak Tomicki, Padniewski, Kmita, za obowiązek wzięli sobie ślać młodzież pol-



ską do Włoch. 1800 studentów polaków przewinęło się przez uniwersytet padewski w XVI wieku. Były takie lata, że polska kolonia po paręset liczyła osób w Padwie, biorąc w rachubę studentów i bawiących tam dla kuracji, wypoczynku lub dewocji rodaków.

Jakkolwiek całe niemal Włochy północne i środkowe roily się od polaków, to jednak znaczna większość przybyszów polskich opierała się o mury Padwy i tam zostawała. W aulach tej prastarej uczelni słuchali prawa magnaccy synowie: Firlejowie, Kostkowie, Łascy, Ossolińscy, Sapiehowie. Na medycynę chodzili ubodzy synowie mieszczańscy: Walenty z Lublina, Szymon z Łowicza, Marcin z Urzędowa. Studya filologiczne prowadzili: Lubrański, Kromer, Karnkowski, Nidecki, Strykowski.

Padewskie studia prawne dały Polsce wybitnych dyplomatów, statystów, kanclerzów, marszałków i sędziów do stworzonych przez króla Stefana trybunałów. Kancelarya Zygmunta Augusta z samych padewczyków się składała. Z Padwy wyszło 49 biskupów i 38 wojewodów i kasztelanów t. j. cały prawie senat polski. „Prawny wpływ Padwy wpół się głęboko w krew i arterye naszego narodu” pisze A. Windakiewicz w swych studiach „Padwa” i „Nacya polska w Padwie” (Przegląd polski 1891, 1887). A zwłaszcza Akademia Zamoyska była nieodrodną córką Padwy.

Medycyna nie tak wspaniale zabłysła. Studenci jej, ubodzy i bez znaczenia synowie mieszczańscy, nie mieli możliwości i środków na tak potężne rozwinięcie swej umiejętności, jak to uczynili prawnicy; natomiast filologowie zostawili duży dorobek naukowy, w którym nie brak tak ciekawych dzieł, jak np. rozprawa z 1560 Jana Łasickiego o mitologii żmudzkiej i zwyczajach weselnych u wschodnich słowian, lub Jana Mieleckiego, który w r. 1592 spisał mitologię ginących już prusów.

Nadto filologia padewska wydała zdumiewająco zdolnych mówców i komentatorów Cyncerona.

Znaczny napływ polaków do tego miasta, które zwano „kwiatem i oczkiem miast włoskich” sprawił, że zawiązały się tu stowarzyszenia polskie, jak to się i dziś dzieje w miastach uniwersyteckich zachodu, gdzie zawsze towarzystwo „Jedność” kłóci się z towarzystwem „Braterstwo”. Założono w domu Kryskiego „Akademię między polaki”, gdzie jak pisze Górnicki „szlachta zacna, polerując rozumy swoje, wynajdowała sobie na biesiadzie zabawy pożyteczne i gry rozmowne, w których się nierównie większa uciecha i pożytek mieści, aniżeli w karciech”. Założono też hotel polski, co do którego jednak ostrzegał 1568 Tomickiego Gratianus „aby tam nie mieszkał, bo tam studenci wesoło sobie żyją i ustawicznie po polsku rozmawiają, więc nie prędkoby się nauczył języka włoskiego”. Zupełnie, jak w „Braterstwie” lub „Jedności”.

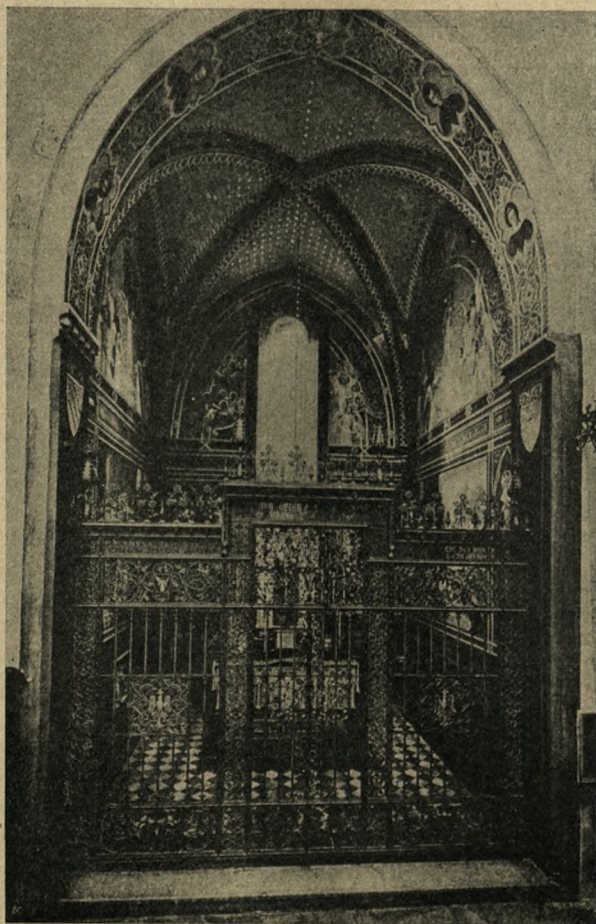
Wreszcie w 1592 założono bractwo i kasę wspólną i postanowiono nabyć grób wspólny dla polaków, oraz wznieść w bazylice ołtarz św. Stanisława.

W czerwcu 1607 wzniesiono ołtarz w lewej nawie, umieszczono w nim namalowane przez Malombra wskreszenie Piotrowina, a pod ołtarzem chowano zmarłych polaków, których zmogły choroby albo też, którzy zginęli w tumultach uniwersyteckich a zwłaszcza w bójkach z Niemcami.

Bractwo polskie przetrwało do r. 1745, a ołtarz do ostatnich czasów. Dopiero przy restauracji bazyliki w 1894 zdecydowano jedną z kaplic za wielkim ołtarzem uznać za kaplicę polską, i tam dopiero ks. Jan Warchał zgromadził pamiątki polskie.

To jest ostatnie ogniwo stosunków polskich z tem miastem, którego wpływ utorował drogę do zeuropeizowania społeczeństwa naszego.

„Wpływ tego odległego zakładu naukowego był na Polskę



KAPLICA ŚW. STANISŁAWA W BAZYLICE ŚW. ANTONIEGO W PADWIE.



wyjątkowym i urasta do znaczenia pierwszorzęd- nego faktu w dziejach naszej cywilizacji", pisze Windakiewicz.

Sumienny ten badacz archiwów pa- d e w s k i c h wśród tysięcy nazwisk stu- denteryi pol- skiej odnalazł też dwa cie- kawie, choć ni- czym jeszcze nie zasłynęły one wówczas:

oto w r. 1641 zapisał się na tudyta Petrus moja, ty jesteś jak zdrowie". Dionysius Kosciuszko, a w 1694 r. Dawid Mic-



OBRAZ M. B. CZĘSTOCHOWSKIEJ W KAPLICY ŚW. STANISŁAWA W PADWIE.

kiewicz natio- ne Polonus ex Magno Du- catu Lithu- aniae. Nie- znane są ta- blice genea- logiczne obu tych studen- tów, ale kto wie, czy ten polonus, za- znaczający sumiennie swój rodowód litewski nie jest protopla- stą tego, któ- ry najcudniej- szą polszczy- zną pisał je- dnakże „Li- two, ojczyzno

Al. Janowski.



Z wycieczek szkolnych gimnazjum ósmego we Lwowie.³⁾

Ale trzeba oddać sprawiedliwość, porządek pruski rzeczywiście wzorowy. Czystość przysłowiowa, nawet wozy 4 klasy, których przeważnie używamy w naszej wędrowce, schludne; wszedłszy do przedziału dla niepalących, wie się, że nie zostanie się tam wędzarni, jak często u nas. Gościńce wysadzone drzewami owocowymi — czereśnie właśnie były dojrzałe — ale dzierżawcy owoców spokojni o swój dorobek. Gdy raz nocą jeden z zaspanych przyrodników zapomniał przy przesiadaniu sioi, zwrócił się tylko do dyżurującego urzędnika, a w 1½ godziny mieliśmy je z powrotem. Tak, daleko nam do tego porządku; zrozumieli to moi młodzi towarzysze, i to pierwsza zdobycz wycieczki u samego jej wstępu.

Z Pleszewa mamy iść pieszo parę mil do Golu- chowa. Idealizm przemaga, chłopcy nie chcą cza- su tracić na obiad, chcą być prędzej na miejscu. Nie jeden — uważałem — żałował potem. Go-

ścińiec długi, monotony; osady nasze czyste, porządne, ludność zamożna i, jak wszędzie, uświa- domiona; kolonizacya mała zrobiła postępy. Do- brze po południu stajemy na miejscu, a chcąc wy- zyskać światło, zaczynamy zwiedzanie pałacu i je- go zbiorów: wspaniała galerya obrazów sławnych mistrzów obcych i naszych, wśród tych najkomple- tnniejszy zbiór Norblina, zbiory wschodnie i t. d. Obejrawszy park i jamę z niedźwiedziami, które zajęły tak „przyrodników“ jak i „literatów“, zmierz- chem dopiero udajemy się do gospody, gdzie nam przyrządzono wieczerzę. Właściciel prawie sta- le poza krajem, pełnomocnik wyjechał do Po- znania.

Po spoczynku nocnym na słomie w czytelnii rano część młodzieży udaje się do pobliskiego lasu, by zobaczyć olbrzymi głaz erratyczny, kilku znu- żonych marszem zostaje w pałacu.

Odwiezieni na kolej, koło 1-ej z południa sta- jemy w Poznaniu. Przyjmuje nas dr. Szulczewski



i cały szereg osób, między których dzielimy obiady. Bawimy trzy dni, zwiedzamy zabytki historyczne: katedrę, kościół maryacki i św. Wojciecha na Śródcie, farę i B. Ciała. Oglądamy pomniki nasze (Mickiewicza, Kochanowskiego) i obce, zaczawszy od Bismarka, stojącego u wstępu do miasta, jak sztyldwach przed niepoświęconym wówczas jeszcze zamkiem Wilhelma. Grodu Przemysława widzieć nie można, zajęty przez archiwum; ratusz w przeróbce, białego orła dotąd zedrzeć nie zdołali, podobno jakieś fatum śmiercią karze śmiałków, którzy się odważą nań targnąć.¹⁾ Gruntownie poznajemy za to zbiory kulturalne, więc muzeum Mielżyńskich, gdzie oprowadza nas i szczegółowo objaśnia dyrektor Erzepki, wystawę obrazów, muzeum niemieckie, ogród zoologiczny. Nie mogliśmy zwiedzić biblioteki Raczyńskich: dyrektor niemiec, który „jura caduco” znalazł się na tem stanowisku, wzbronił wstępu. A to przecie jeden z „porządnych Niemców”!

Zwiedziwszy wśród ulewy w geologicznych celach Wilcze Młyny na północ od Poznania, żegnamy stolicę i rzemiennym dyszlem jedziemy przez Wielkopolskę aż na Kujawy. Więc Kobelnica, gdzie kolonie dzieci, obok Wierzeńca z grobem A. Cieszkowskiego, ciekawa dla swego kościółka i chat typowych. Po drugiej stronie Gruszczyń już skolonizowany (jeden gospodarz polak w całej wsi) i przechrzczony na Artusau, jeśli się nie mylę. Schludne dworki i obejścia, widać dobrze im jest. Dawny dwór zamieniony na szkołę ewangelicką.

Dalej historyczny Ostrów na Lednicy, skąd gwałtownym marszem, by mimo zmylenia drogi na czas stanąć, gonimy do kolei, i o oznaczonej porze jesteśmy w Gnieźnie. W ciągu

dnia zwiedzamy kościoły i okolice, potem znów kościół w Trzemesznie pełen zabytków, a po południu stajemy w Węgiercach na wsi u pp. Dembińskich, którzy nas goszczą po staropolsku.

Krajobraz jednostajny, równina polodowcowa, pokryta licznymi jeziorkami, które są resztką dawnych rzek szeroko rozlanych, albo wypełnieniem zagłębień moreny dennej. W wielu miejscach przechodzą one w torfowiska, jak między Kobylnicą a Wierzeńcą nad Notecią. Takim jest Lednica z historycznymi ruinami zamczyska bolesławowskiego, takim Gopło historyczne. Przewagę tu ma glina lodowcowa, z obfitymi glazami. Są to grunty skandynawskie i wapienie, pełne skamielin, pierwsze używane pospolicie na bruk i do budowl, drugie do wyrobów kamieniarskich, np. grobowców. Gdziekolwiek występują piaski z okresu międzylodowcowego, tworzące czasem nawet wydmy. Pokładów głębszych prawie nie widać, oglądaliśmy je w Wilczych Młynach nad Wartą poniżej Poznania.

Wyraźne moreny czołowe spotkaliśmy dopiero w Prusiech na Kaszubach, jako wcale znaczne wzgórza, które tu powodują malowniczość krajobrazu. Dokładniej poznaliśmy je w Redzie i Wejherowie. Rzeczka Reda płynie szybko, jakby potok górski, gdy niedaleka Wisła ledwie toczy leniwe swe masy wód.

Wybrzeże przynosi dużo nowych spostrzeżeń. Przedewszystkiem ujście Wisły i jej twórcza działalność. Cały Gdańsk rozsiadł się na jej alluwiach, masą niesionego mułu i piasku zasypuje ona ciągle i dziś swe ujścia. Dla umożliwienia żeglugi musiano w ostatnich czasach sztucznie przekopać kanał przez usypaną ławicę. Te piaski wiślane dają początek innemu zjawisku: z nich tworzą się wydmy, przesuwane wiatrem z miejsca na miejsce. Piękne ich okazy typowych kształtów widzieliśmy na Helu o charakterystycznej nędznej roślinności. Jedyne rowy nieco je podtrzymują.

Brzeg tu płaski, w przeciwstawieniu do brzegu w Pucku lub Sopotach gdzieś niedziele dość wysokiego, pamiętającego czasy, gdy nie było tu morza tylko lody.

Wreszcie samo morze. Zaczawszy od plaży, gry barw i kąpeli, a skończywszy na nieznannej z obserwacji faunie, z drugiej znów strony od jazdy morską parowcem i objawów morskiej choroby do poznania doli kaszuba — rybaka, wszystko nowe i ciekawe dla mojej drużyny. Zwłaszcza pierwsze dwa dni nad morzem są wymarzone. Bałtyk widziałem po raz pierwszy; ma on być zwykle szary i posepny, ale nam przedstawił się taki jasny, lśniący od słońca, taki różnobar-

¹⁾ Zdjęto go jednak w r. b. i schowano „tymczasowo” do składów (p. red.).



SKAŁY W RUKOMYSZU POD BUCZACZEM (p. str. 629) fot. L. J. Bykowski.

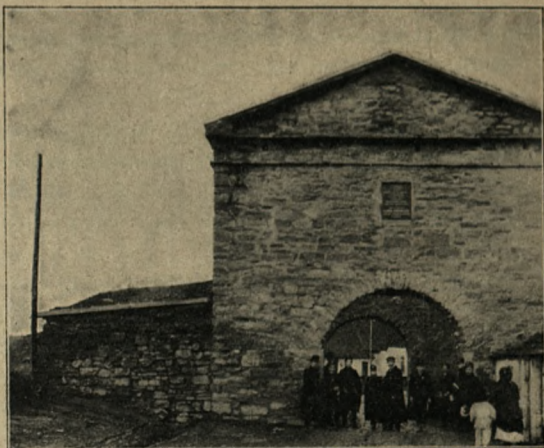


wny wieczorem, jak rzadko bywają nawet południowe morza. Dzień spędzony na Helu, najpiękniejszy może z wycieczki, porównałbym z tym wspaniałym dniem w Białowieży w roku zeszłym. Rosną też zbiory nasze, dostarcza ich samo morze, wyrzucając pod nogi raczki i rybki, zbiera plankton zarzucona siatka, póki się nie zerwie sznur w powrotnej drodze do Pucka. Brak nam dragi głębinowej, którą zobowiązany do jej noszenia „literat” zapomniiał w Węgiercach.

Uzupełnieniem tej „naturalnej przyrody” są muzea. Zwiedzamy zbiory w muzeach poznańskich, tak w polskim im. Mielżyńskich, gdzie zwłaszcza archeologia nadzwyczaj bogato jest reprezentowana i umiejętnie ułożona, jak w niemieckim, prowincjonalnym, okazałe wyposażeniem. Potem w Toruniu muzeum polskie, jak wszystkie utrzymywane z prywatnych składek, nie imponuje rozmiarami, ale posiada parę rzeczy bardzo cennych i ciekawych, nawet unikatów (np. przedhistoryczna urna z rysunkiem zaprzęgu prowadzonego przez nagiego człowieka), jako też przestronniejsze i bogatsze, ale nieco zaniedbane muzeum miejskie. Wreszcie wspaniałe zbiory berlińskie. Dla poznania ich trzeba by oczywiście znacznie dłuższego czasu, ograniczyliśmy się tylko do dwu: etnograficznego i przyrodniczego, a i tak w tem ostatniem np. zdołaliśmy zwiedzić jedynie dział paleontologii i część zoologii; i tu musiałem się ograniczyć do wskazania rzeczy najważniejszych, najciekawszych, baczając więcej na gruntowność, niż na ilość. Na pochwałę moich przyrodników podnieść muszę, że dla dokładniejszego zwiedzenia chcieli zrezygnować z obiadu, względ jednak na „literatów” unicestwił tę ofiarę. Wreszcie zwiedziliśmy ogrody zoologiczne, prócz poznańskiego—berliński i wrocławski.

Nie ograniczyliśmy się jednak do samej przyrody; nasza wycieczka, nawet w innym składzie, nie miałaby charakteru ekskursywnego. Nie mówiąc o zabytkach architektury, poznaliśmy zbiory artystyczne w Poznaniu i Gdańsku. W Berlinie zwiedziliśmy ze zbiorów nieprzyrodniczych jedynie galerię obrazów, nawet na muzeum pergamońskie zabrakło czasu. Zgorszyłby się tem filolog czy historyk sztuki, ale mnie nie chodziło o świetność sprawozdania i liczbę „zwiedzonych” osobliwości. Obficie mieliśmy pamiętać historycznych, i od tych zwykle zaczynaliśmy zwiedzanie. Prusacy wszelkimi siłami starają się zatrzeć ślady polskości lub przemałować je z niemiecka; najlepiej jeszcze opierają się im kościoły.

Widzieliśmy rekonstrukcję ratusza w Pozna-



fol. L. J. Bykowski

BRAMA KAMIENIECKA W OKOPACH
ŚW. TROJCY (p. str. 628).

niu, który teraz ma w nowej polichromii dostać ozdoby w postaci portretów Fryderyka i Wilhelma. Z lednickiego grodu zostały ledwie ruiny i resztki fundamentów, „mysia wieża” w Kruświcy w ręku niemieckim. Mickiewicz skromnie tuli się w prywatnym ogródku, ale w każdym niemal mieście butnie spoziera jakiś Fryderyk lub Wilhelm, a opodal często ich wierny żelazny kanclerz. Wrocław dość kryje zabytków z czasów piastowskich, dość polskości przechowało się w Gdańsku, Toruń dziś ma być bardziej polski, niż za czasów Rzeczypospolitej.

Zwiedzamy też historyczne pamiątki wrogów. Berlin—dorobkiewicz lat ostatnich nie ma tak wielkiej przeszłości, zato całe Prusy od Torunia pełne śladów krzyżackiej kultury i przemocy. Wspaniałe i z prawdziwym znanstwem odrestaurowany zamek w Malborgu wstrząsające robi wrażenie. Zaznaczam, że przyjęli nas tu prusacy bardzo uprzejmie, użyczyli, jak każdej szkole, bezpłatnych biletów wstępu, objaśniali bardzo taktownie. Nie wszędzie jednak, bywały wypadki sporów i nawet szyderstw na wiadomość o naszej polskości. I uczyli się moi towarzysze zaciskać zęby i „pod ziemię kryć z gniewem”... młodzi niewolnicy...

A terazniejszość. Możemy być spokojni. Nie ma tam pustej fanfaronady, niema gadaniny, ale jest cicha praca. W grunwaldzką rocznicę nie było obchodów, aleśmy wszyscy znaleźli się na cichej, niezamawianej mszy w kościele. Nie wolno na zebraniach publicznych mówić po polsku, ale niema prawie wsi bez czyteln, bez polskich gazet. Walka cicha ale straszna, na śmierć.

Grobownicą aleją zwycięstwa, wśród szeregu niewinnie białych drapieżców dążymy w Ber-



linie pod pozłocistą, bogatą kolumnę, na którą zwrócony tyłem do parlamentu spogląda potężny Bismark, położywszy pięść na dokumentach. Symbol siły przed prawem...

Przez bramę brandeburską wchodzimy „pod Lipy”. Tędy przechodziła zwycięska armia Napoleona, Prusy leżały w prochu. A potem był Sedan. I tryumf zwycięzcy zachęca do wytrwania.

Pod Lipami pomniki, parada przed odwachem, pałac królewski, ale i uniwersytet i sławne akwaryum w skromnej kamienicy. Szanujemy potęgę wiedzy i kultury, musimy oddać cześć nauce niemieckiej.

Ale w Poznaniu niemiecka akademія czy może budzić szacunek, gdy poniża naukę dla celów niecných?

Nie przesądzone losy. Kurczy się piastowska ziemia w Poznańskim, Gniezno otoczone zamknię-

tym wiankiem kolonii, ale zbudził się Śląsk, żyją Kaszuby. A jacy oni pewni przyszłości, zakasali ręce i robią. W jednym powiecie inowrocławskim sześć cukrowni — największa co do przeróbki buraków w Kruświcy w rękach polskich.— Powsiach telefony, własne kolejki. Izdobywamy ludzi. Straciłmy wprawdzie różnych Radolinów i Podbielskich, ale jednym z naszych gospodarzy był człowiek, którego ojciec był prusak, a on sam nieco niemieckim akcentem zaciąga, a przecież jest polakiem.

Nauką dla nas to życie wielkopolan, ich zdobyć mimo tak ciężkiej walki z potężnym wrogiem, nauką też Niemcy i ich kultura.

Przyjmowała nas Polonia otwartemi rękami i szczerem sercem, niech tą drogą dojdzie ich wszystkich nasza wdzięczność.

Dr. Ludwik Jaxa Bykowski.



Z podróży na Pomorze. 6)

Odbierając ryby, wkładają je do koszów i wnet rozbiegają się, dźwigając ciężar na plecach, po wsiach i okolicy, gdzie sprzedają ryby. Robią też zamianę na chleb i inne rzeczy, których potrzebują, szczególnie jednak na chleb, bo w Klukach nikt prawie chleba nie piecze, z wyjątkiem pastora, nauczyciela, gospodnego i kilku z zamożniejszych chłopów. Po pracy następuje mały posiłek w karczmie, przyczem rożek z tabaką wciąż w robocie. Wysypują tabakę na odwrotną stronę dłoni i wachają ją z podniesionej do nosa ręki. Długo atoli nie mogą kaszubscy rybacy zabawić się w karczmie, gdyż na to trzeba więcej monety, niż oni posiadają. Rządy bowiem w domach sprawują białki, mając pod swą opieką wpływające pieniądze, z których mężom na wybryki udzielają minimalnie. Oddawanie pieniędzy żonom stało się u łębskich kaszubów ogólnym zwyczajem tak dalece, iż gdy mąż idzie na zakupno do miasta, daje mu żona pieniądze, potem zaś, gdy wróci do domu, pierwszym jego czynem jest złożenie żonie rachunku i oddanie pozostałości w pieniądzu. W południe doi się krowy. Mleko spożytkowuje się w domu, gdyż kaszubi dla zabobonu bardzo niechętnie je sprzedają. O tej porze karmią się też świnię, którym dają małe, nieużyteczne ryby, wrzucając je do przyrządzo-

nego dla nich napoju. Pokarm ten ma dobrze żywić. Świnie tuczą rzadziej do własnego użytku, więcej zaś na sprzedaż. O godzinie 3 po południu daje pasterz znowu znak trąbą do wygonu bydła na pastwisko, rybacy zaś równocześnie zgromadzają się na brzegu Pustynki, gdzie bywają bardzo zajęci, gdy przychodzi im wysmalać naprawione łodzie. Każdy ma wydzieloną sobie część pracy. Od czasu do czasu krzepią się wódką, choć są pilni nadzwyczaj. Jeśli który przedziej upora się ze swą pracą, kładzie się na trawę i czeka, zanim towarzysze nie załatwią się, a każdy z nich co robi, robi porządnie i czysto. Potem, gdy jedną łódź wysmolili, robią ogólny wypoczynek, opowiadając sobie własne przygody z dawniejszego życia wojskowego lub marynarskiego lub gadki, gwarząc dobroduszenie i w największej pomiedzy sobą zażyłości. Trwałoby to Bóg wie jak długo, opowiadano by sobie do wieczora o smantkach, krośniętach, upiorach, czartach i czarownicach, gdyby świat duchów nie przepłoszył troskliwie o dobro swych mężów połowice. Duchy wtedy rozfruwają się na wsze strony, a rybak rad nie rad powstaje z legowiska na trawie i dąży, posłuszny żonie, do wsi. Czasem dostanie mu się garść cierpkiej wymówki za próżnowanie. Uniewinnia się, jak może, i często,



by ją udobruchać, ucieka się do poczęstowania jej kieliszkiem wódki, lecz nie każda daje się przebłagać, a już żadna powstrzymać w skrzętnej zabiegliwości do pracy.

W zimie skupia się życie bardziej w samej csadzie, bo styczność ze światem zewnętrznym więcej jest ograniczona. Wówczas Kluki z Łesagórą tworzą jedną rodzinę. Rybołówstwo, główne zajęcie kaszubów łbskich, nastęcza w zimie więcej trudu i przygód, a o tem wciąż gwarzą we wsi, opowiadając sobie po swojemu z najdrobniejszych szczegółami przygody i nowiny rybackie. Przy zimowem rybołówstwie zajęta jest połowa wsi. Pewna liczba rybaków, właścicieli łodzi i sieci, zwana „prawie”, wybiera sobie wodza (kapitana) i „czesnika”. Wódz ma być nieograniczonym panem. Każdy z „prawców” dobiera sobie pomocników, zwanych „manteliksamii”, do czego chętnie zgłaszają się dziewczęta, które z wytrwałością znoszą trudy i zimno na łodzi, by tylko wyprawiać psoty z chłopakami. „Manteliksy” sprawują podług rozkazu wodza główną pracę. Na lodowym pokrowcu jeziora wyrąbuje się najprzód wielką dziurę, a w tę spuszcza się podwójnie skreconą sieć, przytwierdzoną do dwóch drągów. W pewnej odległości robi się w łodzi taki sam przerębel, którym wyciągają sieć z rybami. Dzieje się to w ten sposób, iż licznymi na prawo i lewo wyrąbanymi otworami za pomocą drągów suną sieć aż do większego przerębla, przy którym stoi wódz i osobiście kieruje wyciąganiem sieci. Tu gromadzą się tłumnie mieszkańcy osady, a tymczasem przybywają kupcy na ryby. Wszczyzna się ruch nadzwyczajny: biegania, przesuwania się w tę i ową stronę, głośnie opowiadania o tem, co i jak się widziało, a jak byłoby lepiej— w rzeczypospolitej rybackiej panuje bowiem zupełna wolność słowa, a nawet dozwolona jest krytyka zarządzeń wybranej głowy — aż w końcu wyciągają sieć ze zdobyczą, na co cały tłum z „karynami” i „liszkami” czeka. Wyciągnięcie takie dużych sieci jest we wsi wielkiem zdarzeniem, zwłaszcza, jeśli zdobycz jest obfita i wydatna. Co za mnóstwo różnych ryb wije się, skacze, rusza, zwija płaskie ciała w kabłąk. Manteliksy oddzielają wielkie ryby od małych. Te należą się pomocnikom, tamte właścicielom łodzi i sieci. Zaczyna się rozdział okoniów, karasiów, płocic, linów, szczupaków i t.p. lub też ryczałtowa sprzedaż zdobyczy rybackiej przybyłym kupcom, częstującym rybaków cygarami i wódką, przymilającym się im w różny sposób, byle tylko jak najtaniej nabyć towar. I choć kaszubi umieją ciągnąć korzyści ze wszystkiego i nie łatwo dają się zbijać z tropu, to przecież umizgi kupców

miękczyć ich serca i czynią ich skłonnymi do opustu w cenie.

W karczmie odbywają się teraz istne gody. Oszczędni kaszubi nie żałują sobie w tak uroczystej chwili ani jadła, ani napitku, ani cygar. Jedzą głównie śledzie z chlebem, piją piwo, a cygaro nie wychodzi im z ust. Są weseli i rozmowni, co nie zawsze zdarza się u nich. Na morze — rzadko kiedy wyjeżdżają mieszkańcy tutejsi. Ale i to bywa.

Gdy rybacy przy złej pogodzie a niepomyślnych wiatrach przykuci są do niziny morskiej, wtedy całymi dniami leżą w ubogich nadmorskich chatach rybackich, skracając czas rozmową i różnemi gramami. Jedzenie muszą sobie nosić z oddalonej o kilkanaście kilometrów wsi Rumke. Lubo w nędznych tych chatach pełno gwaru, krzyku, a czasem i kłótni, nigdy atoli do bójk nie przychodzi. W domu potem każdy opowiada szeroko i długo o przygodach, doznanych nad morzem, jak to mōra (zmora), półtchōrz a półkarzeł, cwałowała na żdźble słomy przez morze, w nocy przez dziurkę od klucza w drzwiach wciskała się do izby i usiadłszy człowiekowi na piersi, dusiła go niemilosiernie, lub jak z morskiej toni wstawał olbrzymi wąż ziejący ogniem z paszczy, a potem gorzało wybrzeże; jak pod krzakiem palił się skarb zaklęty, a ogniste ciele, strzegące go, leżało przed nim; jak z wody wychyla się powiewna postać białej dziewczyny, znikającej jak ogień błędny; jak z głębi morskiej jęczały dzwony zapadłego przy ujściu Leby miasta, a górą w powietrzu szumiał i huczał dziki strzelec...

Wieczorem przypędza pasterz bydło do wsi. O godzinie dziesiątej odzywa się dziesięć przeraźliwych odgłosów. Jest to znak zamknięcia karczmy, gdzie goście stoją jeszcze koło drzwi. Jeszcze chwila, potem jedenasty gwizd oznacza ostateczny koniec: wszyscy idą do domu, cała wieś pogrąża się w sen, a z latarni morskiej koło Dąbca (Dambe) splywa krąg światła na ławy piasków z przeźroczą wód.

Podczas gdy kluczanin i łesagórzanin jest przedewszystkiem rybakim, to znowu izbicanin jest więcej rolnikiem, uprawiającym ziemniaki, buraki i owies, a hodującym świnie i bydło. Kwitnie też kultura odwadniania moczarów. Kopią rowy odpływowe, potem ryskałem skrzybią oparzynsko, przewracają darń osypaną gnojem jeszcze raz i sadzą ziemniaki, które, gdy urodzą, wydobywają z ziemi i układają na polu w stertki, przykrywając ziemią.

Kaszubi są bardzo pobożni. Chodzą nadzwyczaj pilnie do kościoła, a starzy lubują się w czytaniu religijnych książek polskich, tłoczonych zwykle w Gdańsku lub w Królewcu; od czasu gdy ustały po kościołach nabożeństwa kaszub-



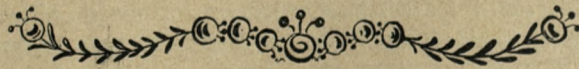
skie, stają się one coraz rzadsze. Starym dają te ukochane księgi do grobu.

W niedzielę i święta należy całe przedpołudnie do kościoła. Po południu zbierają się białki i dziewczęta, biało ubrane, przed tą i ową chatą i opowiadają sobie przeróżności; mężowie i parobcy trzymają się więcej karczmy lub przejeżdżają się na łódkach po jeziorach. Tu i owdzie bywają odwiedziny. Czasem zjawi się żołnierz, który przynosi z sobą trąbę. Co za życie koło niego! Żołnierz dmie w nią z całej siły, a odgłosem drżą chaty w bliskości. Śmiech dziewcząt, gapienie się dzieci, gęganie spłoszonych gąsek, a czasem szczekanie zaniepokojonych psów towarzyszą trąbieniu. W koń-

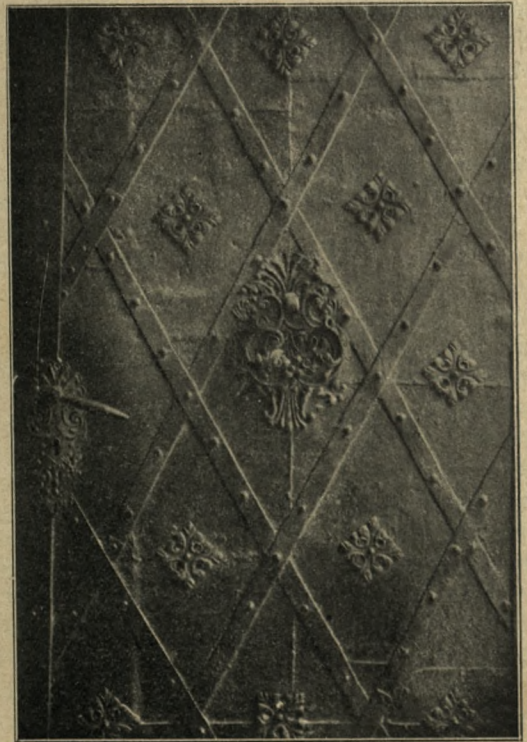
cu cichnie trąba, tem głośniejszą staje się rozmowa wokoło. Żołnierz opowiada cuda o świecie, jak tam pięknie i bogato, u starych kaszubów budzą się dawne wspomnienia, bo i oni za młodu widzieli dalekie światy, pełne przepychu i we wszystko opływające: winne ogrody i pałace w prześlicznych ogrodach, wielkie i wspaniałe miasta, różne dziwy i cuda. A przecież to wszystko nie może się równać z urokiem, jaki otacza jego rodzimą ziemię i wieś, jego ubogą chatę. Tu biją dla niego serca, tu rozbrzmiewa jego najmiłsza gwara rodzinna, tu rozumie on szum jeziora i łoskot morza, tu raj jego, raj kaszubski!

(CDN)

G. Smólski.



Zabytki budownictwa polskiego.



fol. J. T. Grotkowski.

Sień i drzwi domu Nr 22 w Rynku St. Miasta w Warszawie.

Jedna z najpiękniejszych i najstarszych sieni warszawskich, doskonale po dziś dzień zachowana. Jak przypuszcza — zdaje się, słusznie — Weinert, pochodzi z połowy XV w. starsza przeto jest niż dzisiejsza postać zewnętrzna kamienicy, odbudowanej po wielkim pożarze 1607 r. Późniejsze a niezwykle ozdobne są drzwi kute z kołatką t. j.

ruchomą antabką do kołatania we drzwi zamiast dzwonka. Dom, zwany niegdyś „pod Fortuną” należał w XVII w. do Gianottich lub jak ich z polską nazywano Dzianotych, był w 1635 r. libertowany (zwolniony od obowiązku dawania gospód dygnitarzom koronnym w czasie sejmów) i dawał czas pewien gościnę posłom cudzoziem-



skim; licuje z tem jego staranniejsza nad wiele innych ozdoba—arkady w dziedzińcu, piękna poręcz kuta schodowa. Od 1766 r. należał do głośnego lekarza i posiadacza kilku domów w Warszawie Jana Chrzeciego a Czemińskiego, dziadka zna-

nej autorki Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, która się tu urodziła 1798 r. Tu też mieszkali w połowie XVIII w. słynni malarze Szymon Czechowicz i Łukasz Smuglewicz. T-t.



Nowe książki.

Józef Białynia Choledecki—Trynitarze. 8^o str. 100 z 8 rycinami. Cena 3 kor.

Za przykładem zasobnej już, bogatej w dzieła cenne, niekiedy wręcz wybitne „Biblioteki Krakowskiej” wydaje Tow. miłośników przeszłości Lwowa „Bibliotekę Lwowską”, której tomem XIII jest praca w nagłówku podana. Pomysł to godzien żywego uznania, zwłaszcza gdy nazwiska autorów tomików poprzednich (Fr. Jaworski, dr. M. Czołowski, dr. Bałaban, dr. Br. Pawłowski, Adam Krajewski) dają poważną rękojmię wartości prac przedsięwziętych. Trynitarze, których początki sięgają, jak wiadomo, r. 1198, do Polski zawitali dopiero 1685 r., co tem słuszniej może się dziwne wydawać, że nikt zapewne, jak Polska, nie był narażony na boleśniejsze, żywą krwią ciekące rany ciągłych najazdów tatarsko-tureckich, nigdzie te fale złowrogie nie porywały tylu ludzi na niewolę haniebną, okrutną, najczęściej beznadziejną. Były wprawdzie fundusze i legaty, był we Lwowie „Skarb pospolity” na wykup jeńców z niewoli pogańskiej, ale to złemu nietylko nie zapobiegało, ale i nie łagodziło go w sposób dostateczny. Myśl sprowadzenia do Polski trynitarzy, których głównem zadaniem było właśnie uwalnianie jeńców z niewoli, powziął Jan Kazimierz Dönhoff, opat mogiński, czasu swego pobytu w Rzymie. Miejscem pierwszej osady był Lwów, nie dlatego zapewne jak Bartoszewicz w „Kościołach warszawskich” przypuszcza, że Marya Kazimiera niechętna była nowym mnichom-hiszpanom, tylko że stara stolica Rusi bliżej leżała celu i terenu działalności zakonu. Zaczęły się zwykłe szukania miejsca na siedzibę, swary z mieszczanami, zbieranie składek. Działalność właściwa t. j. tak zwane „redempcy”—wykupy rozpoczęła się dopiero w r. 1688, a skończyła dla zmienionych warunków politycznych 1782. Było w tym przeciągu czasu redempcyi 18, a sprowadziły ogółem do kraju 517 nieszczęśników, na co wydano ryczałtem 573,427 złp.—sumy jak widzimy niewielkie, zwłaszcza kiedy mowa o ludziach. Równocześnie puścił klasztor lwowski odnogi, osadzając trynitarzy w Warszawie (1682), Krakowie (1688), Stanisławowie, Beresteczku, Lwowie (drugi klasztor), Wilnie na Antokolu, Kamieńcu Pod., Werkach, Orszy (1714), Łucku (1718), Tomaszowie, Brześciu lit., Lublinie, Teofilpolu, Brahiłowie i Bursztynie. Zmienił się zasadniczo skład osobisty klasztorów: pierwotni hiszpanie ustępują miejsca polakom, synowie możnych rodzin (Ant. Wielhorski) stają na czele skromnego zakonu. Cios

zasadniczy zadały dopiero metropolii lwowskiej nie-tyle osłabienie Turcyi i brak jeńców do wykupu, ile rządy józefińskie w Galicyi. Dekretem cesarskim z 1783 r. zakon został skasowany, gmachy lwowskie oddane na koszary dla kolonistów niemieckich, później na uniwersytet, ostatecznie na ruski „Dom narodny”. W Królestwie trwali ciużej, do wielkiej kasaty zakonów po 1863 r. Zamyka książkę spis imienny wykupionych jeńców, z oznaczeniem stanu, wieku i lat niewoli, spis z którego suchych, bezdźwięcznych słów wieje dziwnie ponura groza.

Książka wydana starannie, indeksu — niestety brak. T-t.

Wskazówki dla zakładających muzea przyrodniczo-krajoznawcze zestawione pod redakcją prof. M. Raciborskiego przez członków Sekcyi zachęty do badań fizyograficznych Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika, poświęcone przez nich najwytrwalszym pracownikom muzealnym w kraju Profesorem W. Kulczyńskiemu i M. Łomnickiemu. Odbitka z czasopisma Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika Kosmos XXXV. 1911. Lwów 1911. Str. 22.

Wydawnictwo to jest tem cenniejsze dla sprawy krajoznawstwa, iż zawiera bardzo szczegółowe i wyczerpujące wskazówki nie tylko jak się zabierać do zakładania muzeów, ale także jak zebrane okazy klasyfikować, umieszczać i przechowywać—wskazówki, o brak których rozbija się mnóstwo dobrych chęci i wysiłków, zwłaszcza na prowincyi.

Uwzględnione są następujące działy: Uwagi ogólne; dział I—geografia; dział II—geologia i mineralogia (z paleontologią); dział III—botanika i leśnictwo; dział IV—zoologia; dział V—antropologia; dział VI—ludoznawstwo. Przy każdym dziale podana jest literatura odpowiedniego przedmiotu i źródła, z których czerpać można wskazówki, przybory i materiały niezbędne do urządzenia zbiorów; przy dziale III nadto podane są wskazówki do zbierania i suszenia roślin. W końcu książeczki znajduje się rozdział, zatytułowany „Zbierający”—a zwracający bardzo słusznie uwagę ogółu, że w pracy gromadzenia zbiorów krajoznawczych mogą i winni brać udział nie tylko specjaliści, ale wszyscy, którzy rozumieją doniosłość sprawy—a więc: księża, właściciele ziemscy, leśnicy, właściciele iub dzierżawcy stawów, górnicy, leśnicy i wycieczkowicze, zarządy uzdrowisk i stacyi klimatycznych, lekarze, inżynierowie, weterynarze, kierownicy rzeźni, ogrodnicy, nauczyciele szkół średnich i ludowych, wreszcie młodzież szkolna. Każdy z wyżej wspomnianych znajdzie odrazu wykaz tego, co w zakresie działalności swojej prawie bez nakładu pracy,—jedy-



nie przy dobrych chęciach,—dla sprawy krajoznawstwa zrobić może. To też dla dobra sprawy polecamy tę książeczkę jak najszerszemu ogółowi.

M. W.

Marcelina Kulikowska — *Z wędrówek po kraju.*
Kraków 1911. 8^o str. 131. Cena 1 rb.

Dziś—przy znacznie ułatwionych środkach komunikacji, przy gęstem krzyżowaniu się interesów, przy licznych wycieczkach zbiorowych, mniej się podróżuje po własnym kraju celem dokładniejszego poznania go niż dawniej. A jeśli się już podróżuje, to właśnie raczej w tych wycieczkach zbiorowych, gdzie oczy i umysł nastawiane są automatycznie pod pewnym kątem, gdzie wszystko — od wysiłku do korzyści wewnętrznej—jest możliwe niewielkie. Na własną rękę dróg własnych szuka szczupła garstka zawodowców—artystów, starożytników, szperaczy, szukających obiektu swej pracy. Szukać tego, co jest kwiatem i podłożem wartości narodowej, szukać człowieka, nie chce się czy nie przychodzi to głowy nikomu.

Stąd wynika pierwsza, niewątpliwa zaleta książki przedwcześnie zgasłej autorki. Jest świeża, jakaś inna i nowa, jest też powiedzmy odrazu bardzo szczerą i prostą, co się dziś w dobie zmechanizowania wszystkiego, nawet uczuć, otwartemi rękoma witać powinno. Zapewne nie są to wielkie, kunsztownie budowane w błyskawicach myśli syntezy, ale też o to nie chodziło i nie każdemu dane jest być punktem zwrotnym myśli społecznej. Drobne, bardzo nieraz drobnutkie i nikłe spostrzeżenia, które się składają na te opisy i wrażenia podróży, mają mimo to swoją niewątpliwą wartość. To pewna, że autorka nie żałowała trudu, ilekroć chodziło o bardziej dokładne obejrzenie i oświetlenie przedmiotu, że oczu nie zamykała, może dlatego, że jej omdlałe powieki podnosiło ciągłe, bolesne i uparcie powracające zapytanie: jak tu jest z nami? stoimy czy cofamy się? Bo to jest niewątpliwie motywem przewodnim książki, najgłębszym zasadniczym tonem akordu ducha autorki. To ją pchało tam wszędzie, gdzie życie i walki narodowe przejawiały się w ostrzejszej, bardziej znamiennej formie: na Kaszuby i na Śląsk Pruski, do Zagłębia i do wstrząśniętej do głębi Warszawy. Jest w tem ciąglem nawracaniu do palących ust i serce zagadnień współczesnego życia polskiego coś, co przypomina — z całym zachowaniem proporcji — Konopnicką, jak z opisów życia robotniczego wieje coś, jakby Żeromski, bardziej tylko pogodny i bardziej kobiecy; — aleć tego nikt za złe początkującym pisarzom chyba nie bierze.

Zamyka się książkę z uczuciem szczerzego żalu, że związał przedwcześnie kwiat, który mógł ku niewątpliwej ozdobie piśmiennictwa ojczystego rozkwitnąć.

T-1.

□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

Świeżo ukazał się tom III *Ekonomisty* za rok bieżący, zawierający dra Zofii Golińskiej-Daszyńskiej „Demografia jako nauka” (nauka o masowych zjawiskach życia ludzkiego); Stanisława Plewińskiego „Przemysł cukrowniczy w latach 1907—1910; Emila Caspariego „Wielka własność ziemska w polskich powiatach Górnego Śląska”; Jerzego Kurnatowskiego „Kooperatywa w Anglii”; A. Łętowskiego „Obdłużenie własności ziemskiej na Litwie”. Całości dopełniają kronika, rozbiory i sprawozdania, oraz bibliografia ekonomiczna prac polskich i obcych. Oprócz tego przypomina redakcja, że w d. 1 października r. b. upływa termin ogłoszonego przez „*Ekonomistę*” konkursu na pracę z zakresu współczesnych stosunków społecznych i ekonomicznych w Królestwie Polskiem z wyznaczonemi nagrodami 1500, 1000 i 500 rb.

□□□□□□□□□□

Kronika krajoznawcza.

+ W ostatnich czasach, jak donosi *Dziennik Poznański* znów kilka znaczniejszych majątków polskich przeszło w ręce niemieckie. I tak p. Władysław Sztukowski zaprzepaścił obejmujący przeszło 400 mórg ziemi folwark Piotrowo, który przeszedł w posiadanie hr. Raczyńskiego z Obrzycka (ta gałęź Raczyńskich jest rodziną ziemczoną), a p. Brustman sprzedał—jak się dowiaduje *Gazeta Gdańska*—niemcowi Rodiszewo, jedyny większy majątek w pow. puckim, obejmujący około 1,300 mórg ziemi. Jednocześnie donoszą *Dziennikowi Bydgoskiemu*, że naszym interesom w mniejszych miastach grozi wielkie niebezpieczeństwo wskutek wyprzedawania posiadłości polskich. Są miasta, w których polski stan posiadania gwałtownie się kurczy. Mianowicie gospodarstwa podmiejskie przechodzą w ręce Niemców—przeważnie przy pomocy znanych instytucji antypolskich!

+ Obwód dominialny Tupadły w pow. strzelińskim otrzymał nazwę „Sagenfeld”; gmina wiejska Lulkowo w pow. mogileńskim — „Luckrode”, a gmina wiejska Kozłowo w tym samym powiecie — „Kosslau”.

TREŚĆ: St. J. Czarnowski.—Zabytki przedhistoryczne w okolicach Ojcowa i Miechowa (z 1 ryc.); H. Wiercieński.—Z przeszłości Nałęczowa (z 3 ryc.); Al. Janowski. — Pamiątki polskie w Padwie (z 2 ryc.); Dr. Ludwik Jaxa Bykowski. — Z wycieczek szkolnych gimnazjum ósmego w Lwowie (z 2 ryc.); G. Smółski. — Z podróży na Pomorze.—Zabytki budownictwa polskiego (z 2 ryc.); Nowe książki. — Z piśmiennictwa. — Kronika krajoznawcza.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście (motywy łożwickie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera. — Składał i tamował Edward Gzik. — Odbijał na maszynie Władysław Kaczorowski. — Kłisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć